

SKANDYNAWSKI BESTSELLER DLA RODZICÓW!

JESPER JUUL

TWOJE KOMPETENTNE DZIECKO



*Dlaczego powinniśmy
traktować dzieci poważniej?*

Jesper Juul

TWOJE KOMPETENTNE DZIECKO

DLACZEGO POWINNIŚMY
TRAKTOWAĆ DZIECI
POWAŻNIEJ?

Przełożyły

Beata Hellmann i Barbara Baczyńska



[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału duńskiego
DIT KOMPETENTE BARN. PÅ VEJ MOD
ET NYT VÆRDIGRUNDLAG FOR FAMILIEN

Projekt graficzny
PIOTR GIDLEWSKI

© Copyright by Jesper Juul, 1995
© Copyright for the Polish edition and translation by Wydawnictwo
MiND Dariusz Syska 2011
All rights reserved

ISBN 978-83-62445-09-7

DO POLSKIEGO CZYTELNIKA

Jestem bardzo dumny, że moja książka ukazuje się w Polsce. Nasze dzieci nie różnią się niczym od tych sprzed stu lat, mają jedynie więcej możliwości wyrażania samych siebie. Ten fakt stanowi zupełnie nowe wyzwanie dla dzisiejszych rodziców i nauczycieli.

Nie ma jednego właściwego sposobu wychowywania dzieci i mam nadzieję, że książka ta – razem z Waszymi dziećmi – zainspiruje Was do szukania własnej drogi, ale także i wybaczenia sobie, jeśli nie zawsze okaże się ona skuteczna.

Jesper Juul

PODZIĘKOWANIA

Teorie oraz przykłady wykorzystane w tej książce zawdzięczam pracy w Skandynawskim Instytucie Kempflera w Danii. Serdecznie dziękuję Walterowi Kemplerowi, dyrektorowi Instytutu, i jego pracownikom za inspirację oraz niezachwianą wiarę we mnie, kiedy sam nie bardzo w siebie wierzyłem.

Podziękowania należą się również tym rodzinom z całego świata, które udzieliły mi wglądu w swoje życie prywatne. Wciąż pamiętam uprzedzenia towarzyszące mi przy pierwszym zetknięciu z rodzinami z Japonii i krajów islamskich, rodzinami o mieszanym pochodzeniu etnicznym w chorwackich obozach dla uchodźców czy z amerykańskimi rodzinami wyniszczonymi przez alkoholizm – by wymienić tylko niektóre z nich.

Mój syn – dzisiaj już dorosły – pomógł mi wykorzystać te doświadczenia w sposób, w jaki może to zrobić tylko ktoś otwarcie i uczciwie poszukujący własnej drogi życiowej. Podobnie moja żona, która konfrontuje mnie z resztkami mojego dziecinnego egoizmu, który – jak za każdym razem żywię nadzieję – pojawia się po raz ostatni.

WPROWADZENIE

Mając dwadzieścia kilka lat, podobnie jak wiele osób w tym wieku, uważałem, że zapatrywania pokolenia moich rodziców – a także wcześniejszych pokoleń – na temat rodziny i wychowania dzieci są błędne.

W czasie kiedy kształciłem się na terapeutę rodzinnego, pracując z tzw. dziećmi i młodzieżą nieprzystosowanymi społecznie i z samotnymi matkami, zdałem sobie sprawę, że moje podejście nie jest ani lepsze, ani gorsze niż podejście rodziców. W rzeczywistości nasze poglądy wykazywały tę samą fundamentalną słabość. Po pierwsze, brakowało im podstaw etycznych. Po drugie, zostały sformułowane na aroganckim założeniu, że niektórzy ludzie są dobrzy, bo postępują według właściwych zapatrywań, a inni źli, bo podstawą ich działań są poglądy wypaczone.

Ta tendencja do polaryzacji przekonań była obecna również w przekazach, jakie otrzymywałem od kolegów z pracy i klientów. Niektórzy z nich twierdzili, że jestem dobry w tym, co robię – inni wręcz przeciwnie. W swojej naiwności uważałem, że dopóki pierwsza grupa stanowi większość, jestem bezpieczny. Zajęło mi trochę czasu, żeby przekonać się, że powinienem raczej wsłuchać się w głos osób nastawionych krytycznie. Dopiero kiedy zostałem ojcem, doświadczyłem poczucia braku kompetencji. To wtedy rozpoczęła się moja edukacja. Do tego czasu byłem tylko praktykantem.

Zanim zostałem ojcem, sądziłem, że rodzinę powinny charakteryzować zrozumienie i tolerancja oraz że relacje rodziców z dziećmi muszą opierać się na zasadach demokratycznych. Takie podejście było dokładnym przeciwieństwem moralizującego, nietolerancyjnego i restrykcyjnego typu wychowania, o którym wiedziałem, że wpływa destrukcyjnie na poczucie własnej wartości u dziecka i jego dalszy rozwój.

Wychowując syna i pracując jako terapeuta z rodzinami i dziećmi, z czasem zacząłem uświadamiać sobie, jak powierzchowne były moje poglądy. Zgoda, nasze rozumienie roli dzieci w rodzinie i społeczeństwie na wielu płaszczyznach uległo zmianie od czasu, gdy sam byłem dzieckiem. Pojmowanie natury ludzkiej, sposoby wymierzania kar i pojęcie moralności stały się bardziej humanitarne i mniej restrykcyjne. Uzmysłowiłem sobie jednak, że istnieją dwa czynniki, które stanowią dla mnie wyzwanie na gruncie zarówno zawodowym, jak i prywatnym.

Jako nauczyciel miałem nazbyt często okazję obserwować rodziców, którzy zmagają się z trudnościami wychowawczymi. Przychodzili na spotkanie z terapeutą, by porozmawiać o swoich dzieciach, a wychodzili od niego w poczuciu bycia nieudacznikami – jeszcze mniej zdolni do podjęcia działania niż przedtem. Również terapeuci, z którymi odbywali te spotkania, walczyli z poczuciem bezsilności i braku kompetencji. Obowiązek nakazywał im jednak, by trzymali się psychologii tradycyjnej, która kładła większy nacisk na znajdowanie winnych niż na wskazywanie możliwości.

Jako terapeuta rodzinny widziałem, że to dzieci i nastolatki najbardziej odczuwają skutki tego braku spójności. Ciągłe obarczamy dzieci odpowiedzialnością, jaką niewiele z nas – rodziców, polityków, wychowawców, nauczycie-

li czy terapeutów – chciałoby wziąć na siebie. Nie kieruje nami zła wola. Wprost przeciwnie, kochamy nasze dzieci i wierzymy, że muszą zmierzyć się z tą odpowiedzialnością, by dorosnąć. Jednak logika naszego postępowania i podstawy nastawienia względem dzieci są błędne.

Szwedzka psycholog, Margaretha Berg Broden wyraziła tę myśl w zdaniu, które stało się inspiracją dla niniejszej książki: „Być może mylimy się, może to dzieci są kompetentne”¹. Stwierdzenie Broden wywodzi się z jej szczególnego zainteresowania wczesną interakcją pomiędzy niemowlętami a rodzicami. Ponieważ sam jestem praktykiem, a nie naukowcem, i zajmuję się interakcją pomiędzy dziećmi i dorosłymi w najszerszym tego słowa znaczeniu, mam własną interpretację słów Berg Broden.

Uważam, że popełniamy kardynalny błąd, zakładając, iż dziecko nie rodzi się jako stuprocentowy człowiek. Zarówno w literaturze naukowej, jak i popularnej ujawnia się nasza skłonność do postrzegania dzieci jako istot raczej potencjalnych niż rzeczywistych – jako aspołecznych „pół-istot”. Dlatego zakładamy, że po pierwsze, muszą zostać wpierw poddane wpływowi osób dorosłych, a po drugie, że dopiero po osiągnięciu pewnego wieku można je uważać za dojrzałych, pełnowartościowych ludzi.

Innymi słowy uważamy, że musimy wychowywać dzieci w taki sposób, który pozwoli im przyswoić sobie wzory zachowania prawdziwego – czyli dorosłego – człowieka. Zidentyfikowaliśmy także pewne metody wychowawcze i nadaliśmy im nazwy z pewnego spektrum: od wychowania liberalnego po despotyczne. Jednak nigdy nie przyszło nam na myśl, by zakwestionować słuszność naszych założeń.

¹ Margaretha Berg Broden, *Mor og barn i Ingenmandsland*, Copenhagen 1989.

Zrobię to jednak w niniejszej książce. Jestem przekonany, że większość z tego, co tradycyjnie rozumiemy pod pojęciem wychowania, jest zarówno niepotrzebna, jak i szkodzi. Nie tylko odbija się negatywnie na zdrowiu psychicznym dzieci, ale przeszkadza też osobom dorosłym, uniemożliwiając ich rozwój. Co więcej, nasze teorie pedagogiczne mają także destrukcyjny wpływ na relację dzieci z dorosłymi. Zamiast podważyć ich założenia, utrwalamy je, wprowadzając w ruch błędne koło i zaburzając własne pojmowanie edukacji, resocjalizacji i polityki społecznej dotyczącej dzieci i ich rodzin.

Dzisiaj być może jeszcze bardziej słuszne niż kiedykolwiek staje się twierdzenie, że sposób, w jaki traktujemy nasze dzieci, determinuje przyszłość świata. Dostęp do informacji zwiększył się na tyle, że dwulicowe podejście do ich wychowania nie może pozostać niezauważone. Mówiąc o polityce światowej, prawimy kazania o ekologii, humanitaryzmie i wyrzeczeniu się agresji, ale wobec dzieci i młodzieży stosujemy przemoc.

Od kilku lat cieszę się przywilejem pracy z ludźmi należącymi do różnych kultur. Podróże przekonały mnie, że zmiany, jakie zaszły w relacjach pomiędzy dziećmi i dorosłymi w krajach skandynawskich, mogą służyć za przykład innym krajom.

W Skandynawii spotyka się dorosłych traktujących dzieci w sposób, który na pierwszy rzut oka może wydawać się pozbawiony ładu i autorytetu. Jednak po bliższym przyjrzeniu się okazuje się, że relacje dorosłych z dziećmi zawierają załączek czegoś, co można określić mianem skoku w rozwoju ludzkości. Po raz pierwszy w erze nowożytnej dorośli na poważnie – bez dogmatyzmu i despotyzmu – biorą pod uwagę niezbywalne prawo jednostki do rozwoju.

Po raz pierwszy mamy podstawy sądzić, że egzystencjalna wolność każdego człowieka nie stanowi zagrożenia dla społeczności, lecz utrzymuje je w dobrej kondycji.

Relacje pomiędzy dorosłymi i dziećmi kształtują się odmiennie w różnych krajach. Wiele różni rodzinę europejską i amerykańską, ale także rodziny w samej Europie czy Ameryce. W północnej Europie żyje się inaczej niż na południu albo w Europie Wschodniej. Występują także wyraźne odmienności między poszczególnymi regionami tego samego kraju. W każdej kulturze inaczej ocenia się społeczną wagę rodziny, jednak wszędzie rodzina jest tak samo ważna w kategoriach egzystencjalnych. Przyjemność, jaką czerpiemy z konstruktywnej i zdrowej interakcji, oraz ból powodowany relacjami destrukcyjnymi są zawsze takie same bez względu na miejsce, w którym żyjemy, nawet jeśli objawiamy je w odmienny sposób.

W niniejszej książce będę przeciwstawiał stare nowe-
mu nie po to, by krytykować, ale by wypracować konkretne wskazówki do działania. W codziennej pracy z rodzinami i psychiatrami dostrzegam, że wielu rodziców bardzo otwarcie wyraża swoje przekonania. W głębi duszy wiedzą, że postępują nieodpowiednio, ale nie potrafią się zmienić, ponieważ potrzebują do tego konkretnych wskazówek.

Tradycyjna psychologia często zapytuje o ludzkie uczucia. Jak bardzo rodzice kochają swe dziecko? Do jakiego stopnia syn nienawidzi ojca? Jak bardzo córka złości się na matkę? Pytania te są ważne, ponieważ pomagają ludziom wyrazić prawdziwy ból. Ja jednak nigdy nie spotkałem rodziców, którzy nie kochaliby swoich dzieci, ani dzieci, które nie byłyby przywiązane do rodziców. Spotkałem jedynie rodziców i dzieci, którzy nie umieli przekształcić tych uczuć w czułe, pełne miłości postępowanie.

Dopiero teraz jesteśmy gotowi stworzyć prawdziwe relacje, które taką samą godnością obdarują mężczyzn i kobiety, dorosłych i dzieci. Nigdy dotąd w historii ludzkości nie działało się to na taką skalę. Poszanowanie godności każdego człowieka oznacza również otwarcie się na odmienność, co z kolei znaczy, że musimy zarzucić wiele naszych dotychczasowych przekonań na temat tego, co jest dobre, a co złe. Nie możemy po prostu zastąpić jednej metody wychowawczej inną. Nie możemy jedynie zmodyfikować naszych błędnych założeń. Wraz z naszymi dziećmi i wnukami dosłownie wyznaczamy granice nowego terytorium.

Anegdoty i przykłady przytaczane w tej książce mają zachęcać do eksperymentowania na własną rękę, nie zaś do ślepego naśladownictwa. Rodzice dziecka to nie tylko dwie osoby odmiennej płci, ale także istoty ludzkie, które postanowiły żyć wspólnie, mimo że ze swoich rodzin wyniosły bardzo różne doświadczenia. Oprócz odmiennego bagażu doświadczeń mają też ze sobą wiele wspólnego. Będąc dziećmi, wszyscy nauczyliśmy się, że istnieją różne sposoby nawiązywania relacji z ludźmi, a tylko niektóre z nich przynoszą dobre rezultaty. Kiedy zakładamy rodzinę, mamy ogromne szanse, by nauczyć się tego, czego nie mogliśmy nauczyć się w naszym domu rodzinnym.

Twierdząc, że dzieci są kompetentne, chcę powiedzieć, że mogą one nauczyć nas tego, co powinniśmy wiedzieć. Dzieci dają nam informację zwrotną, która umożliwia nam odzyskanie utraconych umiejętności i pomaga pozbyć się nieskutecznych, nieczułych i destrukcyjnych wzorców zachowania. Czerpanie wiedzy od własnych dzieci wymaga dużo więcej niż tylko prowadzenia z nimi rozmowy. Musimy zbudować z nimi prawdziwy dialog, którego wielu dorosłych nie potrafi nawiązać nawet z innymi dorosłymi.

mi: osobisty dialog oparty na poszanowaniu godności obu stron.

Zanim rozpocznę omawianie tego tematu, chciałbym wyjaśnić swoje poglądy na kilka zasadniczych spraw. Przede wszystkim fakt, że każdy z nas musi znaleźć swój sposób działania, który jest najbardziej korzystny dla niego i jego dzieci, nie oznacza, że wszystkie sposoby są równie dobre albo że „wszystko wolno”. Na kartach tej książki będę się odwoływał do pewnych kluczowych zasad; traktowane łącznie lub z osobna stanowią kryteria, według których możemy oceniać własne działania.

Często odwołuję się do dawnych zwyczajów, ponieważ wierzę, że dla wielu osób najlepszą drogą do zrozumienia siebie i swoich działań jest przeglądanie się w lustrze przeszłości.

Obawiam się trochę, by niektórzy czytelnicy nie poczuili, iż treść tej książki stanowi krytykę ich postępowania. Żyjemy w czasach, w których bardzo szybko wskazuje się winnych, a w konsekwencji wielu z nas często czuje się obiektem krytyki. Lecz moją intencją nie jest krytykowanie kogokolwiek.

ROZDZIAŁ I

WARTOŚCI RODZINNE

Stoimy wobec niezwykle historycznych zmian. W wielu różnych społeczeństwach podstawowe wartości rodzinne, które gwarantowały fundamenty życia rodzinnego przez ponad dwa stulecia, weszły w okres rozpadu i transformacji. Awangardą tych zmian w Skandynawii są kobiety, a pomaga im rozwinięte ustawodawstwo społeczne i komfort życia w państwie dobrobytu. W innych krajach zmiany takie następują w wyniku wojny domowej lub pojawienia się trudności gospodarczych.

Tempo, w jakim zmiany zachodzą, jest różne, ale przyczyna jest zawsze ta sama: model hierarchicznej, autorytarnej rodziny, której przewodzi matka lub ojciec rodu, zanika. Mapa świata obfituje w wiele rozmaitych typów rodzin. Niektóre desperacko próbują utrzymać standardy „starych dobrych czasów”, podczas gdy inne eksperymentują z nowymi, skuteczniejszymi formami wspólnego życia.

Z punktu widzenia zdrowia psychicznego istnieją wszelkie podstawy, by przyklasnąć tym zmianom. Tradycyjna struktura rodziny i liczne jej wartości były destrukcyjne zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Zilustrują to poniższe przykłady.

Kawiarnia w Hiszpanii

Rodzina – ojciec, matka oraz dwóch synów w wieku trzech i pięciu lat – właśnie skończyła jeść lody. Matka bierze serwetkę, pluje na nią, mocno chwyta podbródek młodszego syna i zaczyna wycierać mu usta. Chłopiec protestuje i odwraca głowę. Matka chwyta go za włosy i gniewnym szeptem mówi mu, jaki jest niegrzeczny.

Jego starszy brat przygląda się tej scenie z grymasem, ale tylko przez chwilę. Potem jego twarz przybiera wyraz neutralnej maski. Ojciec również patrzy na to ze zboląłym wyrazem twarzy, a jednak kieruje swą irytację w stronę żony: dlaczego nie może sprawić, by chłopak porządnie się zachowywał! Dlaczego zawsze wywołuje takie zamieszanie?

Do czasu wyjścia z kawiarni chłopiec jest już spokojny. Spoglądając na mijane wystawy sklepowe, dostrzega nową zabawkę i z entuzjazmem na nią wskazuje. Chce, by jego matka na nią spojrzała. Ale ona jest z przodu, a kiedy cofa się o kilka kroków, podchodzi do niego, chwyta go za ramię i odciąga, nawet nie rzucając okiem na wystawę. Chłopiec zaczyna płakać i błaga, by spojrzała na zabawkę, ale ona jest nieubłagana w swej determinacji, by wygrać. *Pontela cara bien!* – Zrób wesołą minę! – powtarza wielokrotnie.

Kawiarnia w Wiedniu

Dwa młode małżeństwa, jedno z synem w wieku około pięciu lat, siadają na zewnątrz, by po zakupach wypić kawę. Kiedy pojawia się kelnerka, matka chłopca mówi do niego:

– My pijemy kawę, a ty co chcesz?

Chłopiec przez chwilę się waha i mówi:

– Nie wiem.

Poirytowana matka zwraca się do kelnerki:

– Proszę mu dać sok jabłkowy.

Na stoliku pojawiają się kawa i sok jabłkowy, jednak po chwili chłopiec grzecznie i ostrożnie mówi:

– Mamusiu, wołałbym coca-colę z cytryną, jeśli to możliwe.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu? – pyta matka. – Teraz pij sok!

Ale na tym samym oddechu mówi do kelnerki:

– Syn zmienił zdanie. Proszę mu dać colę z cytryną, żebyśmy mieli trochę spokoju!

Przez dziesięć minut chłopiec siedzi spokojnie, podczas gdy dorośli rozmawiają. Nagle matka spogląda na zegarek i mówi ze złością do chłopca:

– Pij swój napój!

– Idziemy już? – pyta chłopiec, wyraźnie podekscytowany.

– Tak, musimy śpieszyć się do domu. Pij!

Chłopiec wypija colę wielkimi łykami.

– Skończyłem, mamusiu. – mówi zadowolony. – Szybko, prawda?

Matka ignoruje go i zaczyna rozmawiać z pozostałymi dorosłymi. I znowu chłopiec siedzi spokojnie. Po upływie pół godziny pyta ostrożnie:

– Mamusiu, pójdziemy zaraz do domu?

– Zamknij buzię, smarkaczu! – wybucha matka. – Jeszcze jedno słowo, a po powrocie do domu pójdiesz prosto do łóżka. Rozumiesz?!

Chłopiec godzi się z sytuacją. Pozostali dorośli spoglądają na matkę z aprobatą, a ojciec chłopca z uznaniem kładzie rękę na ramieniu żony.

Przystanek autobusowy w Kopenhadze

Babcia i dwoje wnucząt – czteroletni chłopiec i sześciolatnia dziewczynka – czekają na autobus. Chłopiec szarpie za płaszcz babci i mówi:

– Babciu, muszę iść do ubikacji.

– Nie możesz teraz iść – odpowiada babcia. – Musimy najpierw dotrzeć do domu!

– Ale ja muszę iść! – mówi chłopiec.

– Spójrz na swoją siostrę, jaka jest duża i rozsądna. – mówi babcia.

– Tak, ale ja muszę... naprawdę!

– Czy mnie nie słyszałeś? Możesz iść do toalety, kiedy dotrzesz do domu. Jeśli będziesz się źle zachowywał, powiem twojej mamie, a wtedy więcej nie pojedziesz ze mną do miasta!

Dorośli pokazani w tych scenkach nie są złymi ludźmi. Kochają swoje dzieci i wnuki, są zachwyceni, kiedy dzieci dobrze się zachowują, lubią ich zabawne, rezolutne uwagi. Ale ci dorośli zachowują się nieczule, ponieważ nauczyli się uznawać zachowania nieczule za czule, a zachowania czule za nieodpowiedzialne.

Przez kilkadziesiąt lat tym, czego rzeczywiście uczyliśmy dzieci, było respektowanie siły i władzy – ale nie drugiego człowieka.

RODZINA JAKO STRUKTURA WŁADZY

Przez wieki rodzina była strukturą władzy, w której – w kategoriach społecznych, politycznych i psychologicz-

nych – mężczyźni mieli absolutną kontrolę nad kobietami, a dorośli kontrolę nad dziećmi. Ta hierarchia pozostawała niekwestionowana: mężczyzna znajdował się na najwyższym szczeblu, poniżej – jeśli nie było nastoletnich synów – kobieta, następnie synowie, a za nimi córki. Powodzenie małżeństwa zależało od zdolności i chęci kobiety do tego, by poddać się swemu mężowi. Oczywisty cel wychowania dzieci stanowiło przystosowanie ich do tego, by stały się posłuszne sprawującym władzę.

Tak jak w innych strukturach totalitarnych ideałem jest sytuacja, w której nie wybuchają otwarte konflikty. Ci, którzy nie współpracują, spotykają się z przemocą fizyczną lub ograniczaniem ich i tak już znikomej wolności osobistej.

Dla tych, którzy wiedzieli, jak się przystosować, rodzina stawiała się bezpieczną bazą, lecz ci, u których mocniejszy był indywidualizm, cierpieli z powodu jej destrukcyjnego wpływu. Osoby takie, często przejawiające psychosomatyczne symptomy tego cierpienia, były poddawane terapii – przez wychowawców i psychiatrów – tak by szybko przystosowały się do życia w strukturze władzy.

Z kolei małżonków i rodziców – osoby dzierżące władzę – zachęcano, by wykazywały zrozumienie, miłość i stanowczość – ale nigdy by oddały władzę. W rezultacie wiele kobiet i dzieci trafiało do szpitali psychiatrycznych, gdzie poddawano je przymusowym terapiom farmakologicznym.

Rzecz jasna, powyższy opis jest zarówno niekompletny, jak i niesprawiedliwy. Trzeba przyznać, że istniały przyjemne i pogodne aspekty tradycyjnego życia rodzinnego. Ludzie kochali się nawzajem. Na pewnym poziomie ci, którym udało się przystosować i poddać strukturze władzy, mieli poczucie bezpieczeństwa szczególnego typu – takie-

go, jakiego doświadczają dobrze przystosowani obywatele społeczeństw totalitarnych.

Niektórzy z nas być może odczuwają nawet tęsknotę za „dobrą, starą, tradycyjną rodziną”, jednak trzeba przyznać, że niezwykle rzadko wywierała ona pozytywny wpływ na pomyślność i rozwój jednostki. Te rodziny pozornie wydawały się często szczęśliwe, ale patologia, jaką wywoływały, czaiła się tuż pod powierzchnią.

Dopiero pod koniec XIX wieku zaczęliśmy interesować się dziećmi jako odrębnymi istotami. Wówczas zdaliśmy sobie sprawę, że zaspokajanie ich potrzeb intelektualnych i psychologicznych jest istotne dla ich rozwoju i pomyślności. Uznanie praw kobiet przyszło jeszcze później – w latach dwudziestych XX wieku – kiedy zaczęły domagać się one poważnego traktowania jako podmioty ludzkie, społeczne i polityczne. Dzięki tym zmianom w pierwszej połowie XX wieku rodzina stopniowo traciła cechy autorytarne – choć sama struktura władzy, będąca podstawą życia rodzinnego, pozostała niezmienną.

Jedną z pozostałości po tradycyjnym modelu rodziny są elementy używanego przez nas języka, powstałe w czasach, kiedy za szczęśliwe uznawano rodziny bezkonfliktowe. Chciałbym w tym miejscu uaktualnić definicje kilku pojęć stosowanych w odniesieniu do rodzin i dzieci.

DEFINICJE

Metody wychowawcze

W Skandynawii aż do połowy lat siedemdziesiątych XX wieku znano „najpewniejsze metody” wychowywa-

nia dzieci. Panowało przekonanie, że dzieci są istotami społecznościami i potencjalnie podobnymi do zwierząt. Dlatego właśnie dorośli musieli się nimi zajmować i stosować wobec nich „metody”, które gwarantowały ich indywidualny i społeczny rozwój. Metody te były różne w zależności od ideologii i aż do całkiem niedawna nie kwestionowano przekonania, że taka czy inna metoda musi być skuteczna.

Teraz, kiedy wiemy, że dziecko to pełnowartościowy człowiek już od momentu urodzenia, absurdem jest mówienie o „metodach”. Pomyślmy przez chwilę, jak by to brzmiało, gdybyśmy zastosowali tę koncepcję do relacji dorosłych. Wyobraźmy sobie na przykład, że mężczyzna mówi do przyjaciela lub do swego terapeuty: „Zakochałem się w wysokiej, czarnowłosej Portugalce, ale mam z nią wiele problemów. Czy możesz podsunąć mi jakąś metodę, żeby łatwiej było z nią żyć?”. Oczywiście żaden dorosły nie pomyślałby nawet o tym, by w stosunkach z innymi dorosłymi osobami zastosować takie podejście. Ale od początku XVIII wieku dokładnie w ten sposób myśleliśmy o naszych relacjach z dziećmi.

Kiedy rodzi się dziecko, jest ono w pełni istotą ludzką – a więc istotą społeczną, wrażliwą i empatyczną. Te cechy nie są wyuczone, lecz wrodzone. Jednak aby mogły się rozwijać, dziecko musi przebywać z dorosłymi, którzy respektują i kształtują społeczne, ludzkie zachowania. Stosowanie metody – jakiegokolwiek metody – jest nie tylko niepotrzebne, ale wręcz szkodliwe, ponieważ redukuje pozycję dziecka do roli przedmiotu. Nadszedł czas – zarówno w opinii praktyków, jak i naukowców – by zmienić podejście do dziecka, by od relacji podmiot–przedmiot przejść do relacji podmiot–podmiot.

Wiek buntu

W wieku około dwóch lat dzieci zaczynają stopniowo uwalniać się spod całkowitej zależności od rodziców. Chcą myśleć, czuć i działać na własną rękę. Moment, w którym rozpoczyna się ten wiek niezależności, nietrudno poznać. Pewnego ranka, kiedy ubierasz swą dwuletnią córkę, ona szarpie cię za ramię i mówi: „Ja móc!” albo „Ja sama!”.

A jak zachowuje się w tej sytuacji większość rodziców? Mówią: „Przestań! Nie umiesz. Ja to muszę zrobić. Nie mamy czasu na zabawę!”. Innymi słowy, kiedy dzieci stają się niezależne, wielu dorosłych stawia opór!

Ta krótka anegdota pokazuje również, jak bystre są dzieci w kwestii współdziałania! Jeśli rodzic odniesie się do kiełkującej niezależności swego dwuletniego dziecka z niechęcią lub oporem, w ciągu kilku miesięcy dziecko albo zacznie się buntować – na opór odpowiadając oporem – albo całkowicie straci inicjatywę i stanie się jeszcze bardziej zależne.

Siłą rzeczy małe dzieci robią się coraz bardziej niezależne i samodzielne – to część procesu rozwoju. Tylko w systemie opartym na przemocy można naturalny i postępujący rozwój niepowtarzalnej osobowości dziecka postrzegać jako problem. Określanie dziecka słowem „nieposłuszny” jest typowym wybiegiem osób sprawujących władzę, który ma spowodować, by dzieci pozostały uległe.

Dojrzewanie

Dojrzewanie to pojęcie psychologiczne, które w XX wieku nabrało negatywnego znaczenia. Z dojrzewaniem kojarzą się konflikty, kłótnie i problemy. Po drugiej wojnie

światowej pojawiło się inne, równie negatywne pojęcie wczesnej fazy dojrzewania i uwrażliwiło rodziców młodszych dzieci na fakt, że zbliżają się kłopoty.

Z obiektywnego punktu widzenia, dojrzewanie to okres psychoseksualnego rozwoju, który sprawia, że młodzi ludzie pomiędzy jedenastym a piętnastym rokiem życia doświadczają wewnętrznej niepewności i zawirowań. Pogląd, jakoby ten proces miał sam z siebie wywoływać konflikty z dorosłymi, jest bzdurny. Liczba konfliktów i ich intensywność zależą – między innymi – od tego, czy dorośli potrafią uznać, że ich rola jako rodziców się zmienia, oraz od tego, w jaki sposób podchodzili do jego rozwoju w pierwszych trzech lub czterech latach życia.

Bunt nastolatka

Wiek nastoletni opisuje się czasem w kategoriach militarnych i politycznych: bunt, niezależność, rewolucja i brak dyscypliny. Nic w tym dziwnego. W strukturze władzy, w której dorośli reprezentują stabilność i w której ich rola ma polegać na utrzymywaniu sytuacji wolnej od konfliktów, wszelkie stopniowo zachodzące zmiany muszą z konieczności być odbierane jako atak na ustalony porządek.

Podobny mechanizm ma zastosowanie do kobiet w średnim wieku. Kiedy wchodzi w okres menopauzy, każde ich działanie czy nastrój przypisuje się działaniu „hormonów”. Stanowi to wymówkę dla osób sprawujących władzę – mężczyzn – do wyzbycia się jakiegokolwiek odpowiedzialności za powstające konflikty. W analogiczny sposób nastolatków wini się za to, że są nastolatkami. Jako dorośli powinniśmy jednak zebrać się na odwagę i zaakceptować

swoją nadrzędną odpowiedzialność za budowanie relacji w rodzinie.

A teraz rozważmy kilka pojęć, które tradycyjnie stosujemy do procesu wychowywania dzieci, a które odzwierciedlają, jak osoby sprawujące władzę postrzegają rzeczywistość. Ujawnia się w nich przekonanie, że utrzymywanie władzy jest dla wszystkich stron korzystne.

Ustalanie granic

W strukturze władzy konieczne jest zachowanie porządku, dlatego ustala się granice, które mają służyć kontrolowaniu fizycznej, mentalnej i emocjonalnej aktywności dzieci. Granice te – czyli to, co dzieci mogą i czego nie mogą robić oraz to, co powinny i czego nie powinny robić – narzucano zupełnie tak, jakby rodzina była jednostką nadzoru.

W systemie tym dorośli twierdzili, że pewne ograniczenia są zdrowe i dobre dla dzieci – wiele osób to założenie akceptowało, choć nie istniały żadne dowody na jego poparcie. Pozwolę sobie rozwinąć nieco ten temat. Prawdą jest, że dzieci rozwijają się w sposób harmonijny i prawidłowy wtedy, gdy osoby dorosłe wyznaczają im pewne granice. Ale – jak to wyjaśnię później – ważne jest, by zarówno dzieci, jak i dorośli wyznaczali swoje własne granice. Kwestia stawiania ograniczeń innym ludziom jest przede wszystkim przejawem chęci sprawowania władzy.

Ta kwestia pojawia się w sposób nieunikniony, gdy tylko rodzice zaczynają omawiać swą wizję wychowania dzieci. Zwykle sądzimy, że tylko nasze pokolenie ma trudności z ustanawianiem granic, że naszym rodzicom przychodziło to z większą łatwością. W rzeczywistości ustalanie granic

zawsze było trudne. Rodzice zawsze prosili specjalistów o radę, jak sprawić, by dzieci „były posłuszne”. Zazwyczaj radzono rodzicom, by rozważali ustalenie granic w czterech kategoriach: jednomyślności, stanowczości, konsekwencji i sprawiedliwości. Przyjrzyjmy się teraz tym kategoriom.

Jednomyślność

Popularne powiedzenie mówi: w jedności siła. Takie właśnie rozumowanie kryje się za jedną z najważniejszych niegdyś zasad wychowawczych: rodzice powinni być zgodni co do tego, jak wychowywać dzieci. Spotkałem niezliczone pary, które poświęciły swe małżeństwo po to, by pozostać wiernym temu ideałowi, cierpiąc zarazem z powodu przytłaczającego poczucia winy, gdy im się to nie udało. Wierzyli – tak jak wielu innych rodziców – że dzieci czują się najbezpieczniej, gdy ich rodzice zgadzają się ze sobą, oraz że krzywdzą swoje dzieci, kiedy nie udaje im się dojść do porozumienia. Tolerowano pewną odmienność poglądów – ale tylko wtedy, gdy wyrażano ją, kiedy dzieci poszły już spać. W ich obecności bowiem nie miało prawa pojawić się nic poza bezwarunkową jednomyślnością. Jednak dogmat jednomyślności ma zastosowanie tylko wówczas, gdy obstawiamy przy postrzeganiu rodziny jako jednostki politycznej. Kiedy osoby sprawujące władzę w rodzinie chcą narzucić jej swój porządek, zgoda jest dla nich korzystna, mogą bowiem wtedy jednym frontem stawić czoło swoim dzieciom.

Rodzice sądzą też czasem, że brak zgodnego stanowiska pozwoli dzieciom nastawiać jednego z nich przeciwko

drugiemu – wbijać klin w dowództwo rodziny. W praktyce jednak jest tak, że rodzice rzadko zgadzają się ze sobą. W wielu rodzinach zdarza się, że ojcowie wymierzają kary, a matki proszą o pobłażliwość. W takiej sytuacji matka nie jest niełojalnym żołnierzem, lecz raczej rodziną sanitariuszką, która udziela pierwszej pomocy i opiekuje się rannymi. Jednak kobiety – nawet wtedy, gdy odgrywały taką rolę – nigdy nie kwestionowały konieczności ustalania granic ani nie próbowały rewidować ograniczeń, w których same żyły.

Według mnie nie ma znaczenia, czy rodzice zgadzają się w kwestiach wychowawczych, czy nie. W zasadzie zgadzać muszą się tylko co do jednego: że różnica zdań jest dopuszczalna. Dzieci czują się niepewnie tylko wówczas, gdy ich rodzice postrzegają powstające między nimi różnice jako złe i niepożądane.

Stanowczość

Istnieje powszechne przekonanie, że aby utrzymać strukturę władzy w stanie nienaruszonym, trzeba być stanowczym. Wiąże się to ściśle z jednomyślnością. Kiedy członkowie rodziny wyrażają odmienne opinie, rozdzźwięk jest postrzegany jako opozycja i prowadzi do konfliktów. Co dla dorosłych oznacza bycie stanowczym? Kiedy dzieci są nieposłuszne, dorośli muszą umieć powiedzieć jednomyślnie: nie!

Zdrową alternatywą dla tego siłowego rozwiązania jest otwarty, osobisty dialog, uwzględniający pragnienia, marzenia i potrzeby zarówno dzieci, jak i dorosłych. Tylko takie zachowanie oznacza dobrze pojęte przywództwo.

Konsekwencje

Przypuśćmy, że nawet po tym, jak rodzice przemówili jednym, stanowczym głosem, dzieci nadal są nieposłuszne. Co dalej? Bez względu na rodzaj konfliktu rodzice zwykle wybierają jedno z dwóch rozwiązań: uciekają się do przemocy fizycznej albo ograniczają osobistą wolność dziecka.

Żadne z tych rozwiązań nie jest łatwe do wprowadzenia w życie. Większość z nas nie chce fizycznie skrzywdzić własnego dziecka ani z czystym sumieniem ograniczyć jego osobistą wolność. Dlatego odwołujemy się do dobrze nam znanych usprawiedliwień:

- To dla twojego własnego dobra!
- Zrozumiesz, kiedy dorośniesz!
- Musisz nauczyć się przystosowywać!
- Mnie to boli bardziej niż ciebie!
- Jeśli nie posłuchasz, będę musiał wbić ci to do głowy!

Czego w rezultacie uczą się dzieci? Kiedy rodzic mówi: „To ja tutaj podejmuję decyzje!”, dzieci uczą się, że nie dysponują żadną wolnością osobistą. Kiedy słyszą: „Dzieci powinno być widać, a nie słyszać!”, uczą się, że nie mają prawa do swobodnej wypowiedzi i same muszą cenzurować swoje słowa.

Co ciekawe, po wymierzeniu kary wielu rodziców zaczyna martwić się naruszeniem swoich relacji z dzieckiem. Typowe jest, że wyrażają swoją obawę w postaci żądania: „A teraz uściskaj tatusia i zapomnijmy o tym”. Lub mniej bezpośrednio jako pytanie: „Będziemy znowu przyjaciółmi?”. Jak na ironię, dokładnie takie samo zdanie dorośli

zwykle wypowiadają, zrywając ze sobą: „Czy nie moglibyśmy pozostać przyjaciółmi?”.

Uczucie niezręczności i zwątpienia jest w tej sytuacji jak najbardziej uzasadnione. Żonglując konsekwencjami i karami, rodzice stopniowo niszczą swoje relacje z dziećmi. Zrzucają z siebie wszelką odpowiedzialność za zaistniały konflikt i odwracają sytuację tak, by dziecko stało się stroną winną. Ten sposób postępowania podkopuje nie tylko wiarę dziecka w rodziców, ale również jego poczucie własnej wartości.

Sprawiedliwość

Dla wielu rodziców lwią część procesu wychowania stanowi krytykowanie i poprawianie dzieci, kiedy zachowują się niewłaściwie. W takich sytuacjach dzieci muszą przyznać, że coś zrobiły źle lub pokazać, że odczuwają wyrzuty sumienia. Zgodnie z tym modelem rodzice są odpowiedzialni za to, by dziecko uzmysłowiło sobie, że faktycznie zawiniło. Dopiero po przyznaniu się do winy może zacząć zmieniać się na lepsze. Taki sposób myślenia dał początek następującym dobrze známym powiedzeniom:

- Wstydź się!
- Powinieneś się za siebie wstydzić!
- Nie wstyd ci za siebie?

W systemie wychowywania, w którym każdy konflikt pomiędzy rodzicami a dziećmi można wytłumaczyć brakiem lub porażką procesu wychowawczego, pojęcie sprawiedli-

wości wprowadzono jako wytyczną dla tych, którzy sprawują władzę. W praktyce pozwala ono dorosłym utwierdzić się w przekonaniu, że przed wymierzeniem kary dziecko rzeczywiście było winne. Dzięki temu rodzice nie koncentrują się na przemoc, którą stosują, lecz na niesprawiedliwości, jakiej by się dopuścili, gdyby ukarali dziecko, które w rzeczywistości było niewinne.

Paradoksalną konsekwencją tak pojętej sprawiedliwości jest fakt, że dzieci protestują tylko w sytuacjach, kiedy zostają ukarane za coś, czego w rzeczywistości nie zrobiły. Bardziej ogólne – oraz głęboko niesprawiedliwe – poczucie „bycia tym złym” stało się normą. Stało się normalnym stanem umysłu dzieci wychowywanych w systemie, w którym krytycyzm rodziców uznawano za kamień węgielny edukacji i wychowania.

Pojęcie sprawiedliwości grało rolę również w rodzinach, w których rodzice czynili ogromne wysiłki, by nie traktować swoich dzieci niejednako. Zgodnie z ich sposobem rozumowania dzieci – bez względu na to, jak bardzo się od siebie różnią – powinny dostawać wszystkiego po równo: te same prezenty, te same nagrody, te same kary i takie samo wychowanie. W rezultacie niektóre dzieci otrzymywały to, czego naprawdę potrzebowały, a inne nie – na zasadzie rzutu monetą, orzeł lub reszka. Rodzice jednak mogli spać spokojnie utwierdzeni w przekonaniu, że postępują „sprawiedliwie”.

Opisany przeze mnie zestaw wartości wywodzący się ze starożytnej koncepcji natury dziecka jest nadal szeroko praktykowany w wielu zakątkach świata. Bez względu na to, co o nim sądzimy, musimy przyznać, że tradycyjne metody wychowawcze wykazują dużą skuteczność, a przynajmniej kiedyś tak było. Jednak cel takiego wychowania – ukształto-

wanie dzieci, które się dobrze zachowują – jest błędny. Jego kwintesencja to przestroga, którą notorycznie słyszeliśmy w okresie dorastania: Zachowuj się dobrze, tak żeby inni ludzie widzieli, że otrzymałeś odpowiednie wychowanie!

Priorytety naszych rodziców opierały się na powierzchownych celach: utrzymywania dobrych stosunków z innymi, grzecznego zachowania się, dostosowania się, odpowiedniego odżywiania się oraz mówienia „dziękuję”, „miło pana poznać” i „dziękuję za gościnę”. Nie oczekiwano, że dzieci będą sobą. Oczekiwano, że będą grać, dokładnie tak jak aktor w teatrze. I dokładnie tak jak aktorzy miały uczyć się swych ról.

Teraz, wiele lat później, łatwo jest się mądrzyć, wiedząc o dzieciach dużo więcej, niż wiedzieli nasi rodzice. Musimy pamiętać, że ci rodzice, którzy nadal uparcie trwają przy wizji rodziny jako strukturze władzy, robią tak ze szczerego przekonania, że jest ona najlepsza dla ich dzieci i wcale nie uważają swego sposobu wychowania za przejaw władzy.

DEMOKRATYCZNE INTERLUDIUM

W latach osiemdziesiątych, kiedy moje pokolenie osiągnęło wiek reprodukcyjny, zaczęto myśleć o rodzinie w nowy sposób. Nastał czas, kiedy rodziny próbowały się przekształcić zgodnie z ideałami demokratycznymi. W dużym stopniu bodźcem do tej zmiany był ruch feministyczny. Po wielu wiekach ograniczeń kobiety pragnęły prawdziwej równości. Spowodowało to zmianę kulturowych ról płci i podziału obowiązków w rodzinie oraz zniesienie istniejącej w społeczeństwie nierówności w zakresie zatrudnienia i wykształcenia.

Chociaż wielu z nas dorastało w domach, w których struktura władzy była mniej lub bardziej totalitarna, czuliśmy, że rodzina musi stać się bardziej demokratyczna. Wierzyliśmy, że nasze dzieci mają prawo znać uzasadnienie norm i ograniczeń, jakie im narzucamy, a także mają prawo uczestniczyć w podejmowaniu decyzji i mieć na nie wpływ. W konsekwencji pojawiła się nowa jakość relacji pomiędzy mężczyznami i kobietami, dorosłymi i dziećmi. Rodzice, na przykład, nie potrzebowali już tylu metod wychowawczych. Zamiast tego chcieli rozumieć dzieci i młodzież. Jednocześnie zmianom ulegały relacje seksualne pomiędzy kobietami i mężczyznami, ponieważ kobiety same podejmowały decyzje dotyczące własnego ciała. Pomocny w tym był przemysł farmaceutyczny, który dostarczał efektywnych metod antykoncepcji.

Ten szlachetny eksperyment zdemokratyzowania rodziny, choć uzasadniony, okazał się niewystarczający i miał jedynie ograniczony wpływ na tradycyjne wartości rodzinne. Dlaczego? W tamtych czasach pojęcie rodziny stało się polityczną definicją opisującą problemy występujące pomiędzy płciami oraz dorosłymi i dziećmi – był to etap pośredni, logiczny i konieczny. Jednak polityczne nazewnictwo nie jest w stanie należycie opisać wewnętrznych relacji w rodzinie. W rzeczywistości częściej utrudnia nawiązanie bliskości niż jej sprzyja. Daje ono poczucie bezpieczeństwa i ważności osobom wtajemniczonym, lecz to bezpieczeństwo nigdy nie sięga tych, którzy znajdują się na dole hierarchii.

Proces interakcji w rodzinie

Ze względu na istniejącą w rodzinach hierarchię wartości demokratyczne – mimo że niewątpliwie stanowią pożądany dodatek do podstawowych wartości rodzinnych – same w sobie nie wystarczą. Przekonanie, że każdy ma prawo uczestniczyć w procesie podejmowania decyzji, jest pomocne, kiedy takie uczestnictwo odnosimy na przykład do decyzji, gdzie spędzić święta Bożego Narodzenia albo kto będzie odpowiedzialny za jakie prace domowe. Ale nie wpływa na rzeczywisty proces interakcji będący czynnikiem niezwykle istotnym, determinującym samopoczucie wszystkich członków rodziny i nastrój podczas tych świąt.

Proces interakcji, o którym czasami mówimy duch lub atmosfera – greccy filozofowie nazywali go *etosem* – odwołuje się do jakości rozmowy w rodzinie: do tego, jak jej członkowie odnoszą się do siebie i jak się czują. Jest to element kluczowy dla fizycznego i emocjonalnego zdrowia i rozwoju dzieci. Wpływa na niego wiele różnorodnych czynników: osobowość i życiowe doświadczenia rodziców, ich wzajemne relacje, osobiste sukcesy i porażki, światopogląd, punkt widzenia, świadomość konfliktów i umiejętność radzenia sobie z nimi, zaradność w sytuacjach stresowych i kryzysowych itd.

Z nauki psychologii wynika, że całkowitą odpowiedzialność za stworzenie określonego etosu czy atmosfery w rodzinie ponoszą osoby dorosłe. Nie mogą scedować tego obowiązku na dzieci ani się nim podzielić, gdyż dzieci nie mogą go przejąć. Jest to zadanie wyłącznie dla dorosłych.

Nie oznacza to, że dzieci nie mają wpływu na proces interakcji w rodzinie. Wprost przeciwnie. Wywierają na niego ogromny wpływ z racji braku życiowego doświadczenia,

z racji swej logiki, niedoskonałości, jakie przejawiają, oraz z racji swej wrażliwości na konflikty. Mają wpływ na ten proces również dzięki wykazywanej przez siebie chęci współdziałania, witalności i kreatywności, a również dlatego, że często w konfliktach pomiędzy dorosłymi odgrywają rolę piorunochronów.

Mimo wszystko jednak dzieci nie mogą ponosić odpowiedzialności za jakość rodzinnych relacji. W rodzinach, w których rodzice – z różnych powodów – nie mogą sobie z tą odpowiedzialnością poradzić i w których w końcu to dzieci „podejmują decyzje”, skutki są zawsze opłakane: dla dorosłych, dla dzieci i dla ich wzajemnych relacji. Zadania, obowiązki i sprawy praktyczne można scedować na dzieci czy młodzież, ale nie da się tego zrobić z odpowiedzialnością za dobro rodziny. Ona leży wyłącznie w gestii osób dorosłych.

Nie oznacza to, że dzieciom powinno się odbierać prawo do udziału w podejmowaniu decyzji w sensie demokratycznym. Mogą uczestniczyć w tym procesie, jeśli nadrzędnym celem jest wprowadzenie ich w zasady rządzące demokracją. W sytuacjach, w których dzieci i osoby dorosłe wspólnie funkcjonują, lepiej jest dla dzieci, jeśli dorośli poważnie traktują ich życzenia i potrzeby. W życiu rodzinnym i społecznym często występuje ogromna i bardzo istotna różnica pomiędzy otrzymywaniem tego, czego się chce, i tego, czego się potrzebuje.

Rodzina jest jednostką w sensie prawnym tylko wtedy, kiedy powstaje lub kiedy się rozpada. Pomiedzy tymi wydarzeniami jest ona przede wszystkim tworem o wymiarze egzystencjalnym i emocjonalnym. Szanowanie praw drugiego człowieka przynosi korzyści nam wszystkim, jednak to nie wystarcza, kiedy w grę wchodzi dobro i rozwój dzie-

ci. Zdrowe dzieci wymagają czegoś więcej niż równości w sensie politycznym i prawnym. Wymagają, by traktować je z szacunkiem dla ich osobistej godności.

Opisana powyżej przemiana rodziny totalitarnej w demokratyczną wywołała serię zdarzeń, które u wielu ludzi zostawiły rany. Jednak miała ona miejsce w optymistycznych czasach. Wierzyliśmy, że przyszłość pokaże, iż nasze wysiłki były warte zachodu. Chcieliśmy obyć się bez starych zasad, nie mając jasnej wizji tego, jak powinny wyglądać nowe. Do dzisiaj wielu rodziców z naszego pokolenia żałuje, że „nowoczesna rodzina” nie dotarła jeszcze do takiego punktu, w którym sama mogłaby rozwiązywać swoje problemy.

Jednak w gruncie rzeczy wartość zasad demokratycznych w konfrontacji z prawdziwym życiem okazała się ograniczona. Są one bowiem zbyt abstrakcyjne, by służyć jako wytyczne w codziennych sprawach. Okazało się, że trudniej jest wcielić je w życie, niż je wymyślić.

Konflikt

Dla rodziny tradycyjnej ideałem był brak konfliktów. Dlatego nieporozumienia pomiędzy dorosłymi i dziećmi kładziano na karb nieodpowiedniego wychowania dzieci i winą obarczano rodziców – albo winiono dzieci za brak dobrych manier. Pierwsze pokolenie rodziców demokratycznych zostało pozbawione wzorców zachowań i nie wiedziało, jak w konstruktywny sposób pokonywać i rozwiązywać spory.

W naturalny sposób rodzice ci zwrócili się w pierwszej kolejności w stronę modelu politycznego – czyli walki

o władzę. Jednak model ten nie daje się zastosować do rodziny, ponieważ siłą rzeczy jedna strona staje się wtedy stroną wygraną, a druga – przegraną. W rodzinach, które na tym modelu się opierają, na przegranej pozycji stoi jedność rodziny. Nic dziwnego, że powszechniejsze niż kiedykolwiek wcześniej w historii stały się rozwody i domy, w których dzieci wychowuje tylko jedno z rodziców.

Równość

W rodzinach demokratycznych koncepcja równości przejawiała się przede wszystkim w próbach zarzucenia tradycyjnych ról płci i ukształtowania nowych w bardziej egalitarny sposób. Chciano wyeliminować założenie, że mężczyźni są żywicielami rodziny, a kobiety gospodyniami domowymi.

Jednak wiele rodzin – szczególnie tych, które w skuteczny sposób doprowadziły do zrównania ról płci – musiało stawić czoła nieprzyjemnej rzeczywistości. Mimo że równość jest szlachetnym ideałem, nie udało się wykształcić zdrowej równowagi pomiędzy kobietami i mężczyznami. Kiedy ustąpiły stare stereotypy, zakorzeniły się inne. Podział obowiązków domowych nie rozwiązał dylematu, jak podzielić się obowiązkami emocjonalnymi i innymi kwestiami związanymi z rodziną.

Ponieważ mężczyźni byli bezpośrednimi sukcesorami dawnych rodzinnych władców totalitarnych, ich rola została poddana krytyce. Dla wielu z nich stanowiło to rodzaj kastracji. Jednak u samych podstaw skierowanej przeciw nim krytyki czaił się paradoks: mężczyźni jako ojcowie nigdy nie odgrywali ważnej roli w rodzinie – ani ilości-

wo, ani jakościowo. W rezultacie krytykowano ich głównie za to, czego nie robili.

W tym samym czasie, kiedy kobiety wkroczyły na rynek pracy, wielu mężczyzn zaczęło – z większym lub mniejszym zaangażowaniem – przejmować od kobiet znaczną część zadań i obowiązków rodzinnych. Wszystkie te zjawiska łącznie doprowadziły do zaniku roli mężczyzny jako jedyne go żywiciela rodziny. Zarówno kobiety jak i mężczyźni domagali się, by przydzielono im rolę partnerów, kochanków, ojców i członków rodziny.

Przez krótką chwilę równość definiowano jako upodobnienie się do siebie, wystawiano także cnoty „miękkiego mężczyzny”. Wkrótce wahadło wychyliło się w drugą stronę i powrócono do ideału mężczyzny macho. To wtedy właśnie mężczyźni i kobiety zdali sobie sprawę, że do zbudowania demokratycznej rodziny nie wystarczy samo „spełnianie życzeń” kobiety. Tak zwanych kobiecych wartości – które w większości są podstawowymi wartościami ludzkimi – nie da się przeszczepić mężczyznom.

Przez tysiąclecia kobietom odmawiano podstawowych praw, a jednak udało im się zachować – w różnym stopniu – ludzkie przymioty. Mężczyźni – odizolowani w roli żywicieli – zdystansowali się od swych ludzkich cech. W tym sensie brak równości jest nadal niezwykle widoczny.

Szacunek i akceptacja

W nowym rozumieniu równości płci podstawowymi pojęciami stały się szacunek i akceptacja. Słowa te można różnie rozumieć: na przykład, czy szacunek to coś,

co my – istoty ludzkie – powinniśmy sobie nawzajem okazywać ze względu na sam fakt naszego istnienia, czy też trzeba sobie nań zasłużyć?

Przypuśćmy, że partnerka mówi: musisz zaakceptować moje metody wychowawcze! Czy powinienem ukryć fakt, że się z nimi nie zgadzam? A może lepiej byłoby przytaknąć i udawać, że się zgadzam? Czy ona może żądać ode mnie bezwarunkowej akceptacji swoich decyzji? Czy też jest to dar, który mogę jej ofiarować, ponieważ ją kocham? Co się stanie, jeśli będę respektował ją i jej sposób bycia, ale zdam sobie sprawę, że nie mogę znieść wspólnego życia? Czy konieczne jest zrozumienie drugiej osoby, zanim będzie można ją szanować i akceptować – lub nawet kochać – czy też jest to zbyteczne?

By przełożyć te abstrakcyjne problemy na konkrety, które przydadzą się, kiedy będziemy próbowali zrozumieć zjawiska życia rodzinnego, musimy najpierw zwrócić się w stronę własnego wnętrza. Musimy nauczyć się akceptować samych siebie takimi, jakimi jesteśmy. W ten sposób zyskamy szacunek do samych siebie. Poprzez ten proces nauczymy się, jak absurdalne jest przejmowanie się sytuacjami, w których ludzie nie okazują nam szacunku. To przywodzi nas z powrotem do punktu wyjścia: czy szacunek i akceptacja są zasadniczymi warunkami miłości czy też jej konsekwencjami?

Żądania

O żądaniach można mówić w biznesie, kontraktach prawnych i politycznych grach o władzę, ale nie wówczas gdy

mówimy o rodzinie. Kobieta może żądać, by jej były mąż płacił alimenty na dziecko, ale nie może wyegzekwować, by wziął za dziecko odpowiedzialność lub się o nie troszczył. Związek uczuciowy istniejący pomiędzy kobietą a mężczyzną lub pomiędzy rodzicami a dziećmi jest darem i przywilejem. Nie jest czymś, czego możemy od siebie nawzajem żądać.

Kiedy któryś z członków rodziny czegoś żąda – bez względu na to, czy chodzi o odpowiedzialność, uczucie, uwagę, seks, troskę, obowiązek, bycie razem czy szacunek – to niewątpliwie wyraża potrzebę miłości. Wyraża uzasadnioną tęsknotę – nie absurdałne żądanie.

Jednak życie rodzinne jest pełne żądań. Czasami udaje nam się dostać to, o co prosimy. Ale aż nazbyt często osiągamy to, czego chcemy, płacąc wysoką cenę, jaką jest utrata kontaktu z osobą, która jest nam bliska.

Próba przekształcenia rodziny w sposób demokratyczny jest krokiem naprzód, ale nie jest przedsięwzięciem w pełni zwieńczonym sukcesem. Pomija bowiem wymiar życia rodzinnego niezbędny dla zdrowia jej członków – poszanowanie godności. Koncepcja równej godności wszystkich ludzi pojawia się w manifestach politycznych od dwustu lat, chociaż rzadko bywa wprowadzana w życie. Podobnie trudno zastosować ją w życiu rodzinnym, kiedy jest tak niewiele wzorców i wyrazistych przykładów.

Społeczność jednostek o równej godności

Począwszy od lat siedemdziesiątych, kiedy pojawiła się idea równego traktowania wszystkich członków rodziny,

relacje pomiędzy osobami dorosłymi a dziećmi uległy zdecydowanej poprawie. Zmianę tę obrazuje najlepiej fakt, że obecnie dzieci i nastolatki mogą funkcjonować w świecie z dużo większym poczuciem naturalności i samoświadomości. Nie programuje się ich już automatycznie, by tolerowali naruszanie własnego poczucia godności przez dorosłych, jak to się działo wcześniej.

Jednocześnie jednak rodzinie i społeczeństwu nadal nie udaje się zaspokoić podstawowej potrzeby dzieci i młodzieży: uznania ich za pełnoprawnych członków społeczności.

Idea jednakowego szacunku dla wszystkich wpłynęła również na relacje pomiędzy kobietami i mężczyznami. Dzisiaj widzimy oznaki tego, że tradycyjne role kobiet i mężczyzn już się zdezaktualizowały. To prawda, że mężczyźni i kobiety często myślą, postrzegają i działają w bardzo odmienny sposób. Do jakiego stopnia te różnice są uwarunkowane biologicznie, kulturowo i historycznie nie jest tu teraz istotne. Zasada wzajemnego szacunku zakłada, że ludzie są różni, i wcale nie należy likwidować tej różnicy. Dlatego właśnie można ją zastosować do osobistych relacji pomiędzy kobietami i mężczyznami, dorosłymi i dziećmi, hindusami i chrześcijanami, Afrykanami i Skandynawami, lekarzami i pacjentami oraz pracodawcami i pracownikami.

Co kryje się pod pojęciem wzajemnego szacunku? Jeśli równość jest czymś statycznym i wymiernym, to szacunek odnosi się do działania. Różni się od równości również tym, że nie zawsze wiąże się z przypisywaniem jednostkom jakichś konkretnych ról. Na przykład fakt, że w niedzielne popołudnie żona zajmuje się przygotowaniem obiadu, podczas gdy jej mąż ogląda mecz w telewizji – lub na odwrót – nie mówi nam nic o tym, jak wyglądają ich relacje w kwestii wzajemnego szacunku. Mimo że taki

podział ról może wydawać się na pozór konserwatywny, nie oznacza, że role małżonków są nierówne – o ile żaden z partnerów nie czuje się zmuszony do wejścia w swoją rolę przez drugiego. Kiedy ktoś przyjmuje nową rolę, o równości możemy mówić tylko wówczas, gdy osoba biorąca na siebie nowe obowiązki w rezultacie staje się lepsza. Kiedy ojcowie poświęcają więcej czasu swoim dzieciom, ich żony mogą czuć wdzięczność, że mają o jeden obowiązek mniej. Ale relacja pomiędzy rodzicami polepsza się tylko o tyle, o ile ojciec – w wyniku częstszego kontaktu ze swoimi dziećmi – postrzega siebie jako człowieka bardziej spełnionego. W przeciwnym wypadku ma poczucie, że jedynie „pomaga”.

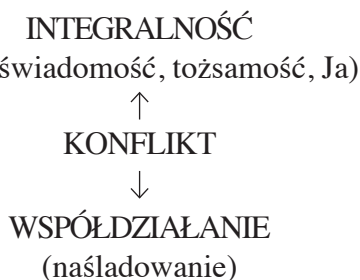
Nasza zdolność do poszanowania godności drugiego człowieka w spontanicznych zachowaniach wobec dorosłego partnera lub dziecka zależy – jak tak wiele innych spraw – od doświadczenia, które wynieśliśmy z domu, i od wzorców, jakie mieliśmy. Niektórym może być trudno traktować innych z szacunkiem, jeśli sami nie doświadczali tego jako dzieci. Umiejętność ta wymaga nauki i codziennego treningu.

ROZDZIAŁ II. DZIECI WSPÓŁDZIAŁAJĄ!

Kiedy dzieci przestają współdziałać, to dzieje się tak dlatego, że albo zbyt mocno i zbyt długo starały się do tej pory, albo została naruszona ich integralność osobista. Nigdy nie dzieje się to z braku chęci do współdziałania.

PODSTAWOWY KONFLIKT

Z lektury najstarszych dokumentów wiemy, że konflikt pomiędzy jednostką a grupą czy społeczeństwem zawsze stanowił fundamentalny dylemat egzystencjalny. Czasami mówiło się o nim jak o konflikcie między indywidualizmem a konformizmem lub między tożsamością a dostosowaniem. Ja wolę nazywać go konfliktem pomiędzy integralnością a współdziałaniem.



Wszystkie teorie wychowawcze interpretowały ów przyrodzony konflikt za pomocą twierdzenia, że dzieci rodzą się aspołeczne, egocentryczne i nie wykazują chęci współpracy. Dlatego zadaniem dorosłych jest uczenie ich, jak współdziałać, jak się dostosować do grupy i liczyć z drugim człowiekiem. Do tego celu przypisywano różne środki. Na przykład w drugiej połowie XX wieku stosowano mniej przemocy fizycznej, większą wagę przywiązując do dialogu.

Przekonanie, że dzieci nie wykazują woli współdziałania, pozostawało niekwestionowane aż do niedawna. Na przykład w czasie, kiedy przyszedłem na świat, pediatrzy zalecali matkom trzymanie się sztywnych zasad higieny – systemu, który określano mianem: cisza, czystość, regularność. Instruowano matki, że muszą karmić dzieci piersią, kąpać i kłaść do łóżka o ściśle określonych porach i w regularnych odstępach czasu. Specjaliści dowodzili, że jeśli rodzice nie zastosują się do tych reguł, dzieci przejmą nad nimi kontrolę. Kiedy – po kilku tygodniach czy miesiącach – matka zaczynała martwić się o swoje dziecko, które coraz więcej płakało, fachowcy zapewniali o dobroczynnych skutkach płaczu jako gimnastyki dla dziecięcych płuc. Na szczęście rodzice wielu z nas – przynajmniej tych, którzy przetrwali pierwsze lata życia w stosunkowo dobrej formie – nie mieli serca słuchać krzyków będących wyrazem frustracji. Wbrew zaleceniom lekarzy przytulali nas i karmili wtedy, kiedy teoretycznie nie powinni tego robić.

Idea konfliktu pomiędzy dążeniem dziecka do zachowania własnej integralności a pragnieniem współdziałania ukrywa jeszcze jedno założenie: że dzieci w tym konflikcie dbają wyłącznie o siebie. Rodzice muszą nauczyć je współdziałania, by od samego początku wiedziały, kto w domu rządzi.

Po czterdziestu latach intensywnych badań nad rodzinami i dwóch dekadach obserwacji i analizy związków między matką i dzieckiem dowiedzieliśmy się, że rzeczy mają się dokładnie na odwrót. W rzeczywistości, kiedy dziecko musi wybierać pomiędzy zachowaniem własnej integralności a współdziałaniem – a zdarza mu się to, tak jak dorosłym, wiele razy każdego dnia – w dziewięciu przypadkach na dziesięć wybiera współdziałanie. Dlatego dorośli nie są potrzebni, by uczyć dziecko przystosowania się i współpracy. Potrzebni są, by nauczyć je czegoś wręcz przeciwnego: jak w relacjach z innymi zadbać o siebie.

Dorośli nie potrafią dostrzec tego problemu z dwóch powodów. Po pierwsze, zwykle nie zwracamy uwagi na zachowanie naszych dzieci, kiedy z nami współdziałają, lecz dopiero wtedy, gdy przestają to robić. Po drugie, ich współdziałanie może przejawiać się w dwóch bardzo odmiennych formach. Zanim jednak przejdę do omówienia tego zagadnienia, chciałbym zdefiniować, co kryje się pod pojęciem współdziałania.

WSPÓŁDZIAŁANIE

Kiedy mówię, że dzieci współdziałają, oznacza to, że naśladują zachowania osób dorosłych: na początku swoich rodziców, a potem innych osób, z którymi mają bliski kontakt.

Przykład 1.

Matce skończył się urlop macierzyński i musiała oddać do żłobka swoją sześciomiesięczną Lily. Kiedy zawozi ją tam rano, dziecko płacze, jest nieszczęśliwe i bardzo trudno je uspokoić. Gdy do żłobka zawozi ją tata, wszystko wydaje się w porządku.

Jak wytłumaczymy tę zagadkę? Rodzice, dyskutując nad tym problemem, przypuszczają, że może on mieć swe źródło w niedostatecznej opiece nad dzieckiem w żłobku. Rozważają również swoje podejście do dziecka: może mama jest zbyt opiekuńcza, a tata nie dość czuły?

Tymczasem w ogromnej większości wypadków radość bądź niezadowolenie dziecka związane z przybyciem do żłobka nie ma nic wspólnego z tymi sprawami. Jest raczej tak, że dzieci, na przykład Lily, naśladują zachowanie rodziców. Jeśli matka nie jest jeszcze emocjonalnie gotowa – co zrozumiałe – na rozłąkę z dzieckiem, czuje niepokój, smutek, jest nerwowa i nieszczęśliwa, dziecko będzie płakać razem z nią. Matka Lily prawdopodobnie starała się tłumić te nastroje, jednak Lily je wyczuwała – i kopiowała. Innymi słowy, dziecko w kompetentny sposób współdziała z matką, przekazując jej wiadomość, którą można przetłumaczyć w następujący sposób: kochana mamo, coś między nami jest nie w porządku – coś jest niejasne. Daję ci znać, że o tym wiem, i zakładam, że weźmiesz na siebie odpowiedzialność za rozwiązanie tego problemu tak, byśmy obie mogły poczuć się lepiej.

Jednak gdybyśmy zapytali matkę, czy płaczące dziecko, które właśnie zostawiła w żłobku, z nią współdziała, najprawdopodobniej usłyszelibyśmy, że nie. Jest tak dlatego, że dla matki pojęcie współdziałania wiąże się z umiejętnością przystosowania. Zakłada ona, że współdziałające dziecko powinno znosić rozłąkę bez płaczu.

Ten sam mechanizm działa, kiedy przychodzimy z dzieckiem do dentysty lub lekarza, albo stawiamy w jakiegokolwiek innej, nowej sytuacji.

Przykład 2.

Karen i Christianowi – po wielu latach niezamierzonej bezdzietności – urodziła się Sara. Karen wzięła roczny urlop, by zostać w domu z córeczką. Tak jak większość rodziców, Karen i Christian byli niezwykle szczęśliwi, ale i niepewni tego, czy zdołają sprostać odpowiedzialności, jaką niesie ze sobą rodzicielstwo.

O tej niepewności nie mieli jednak okazji – z wielu powodów – porozmawiać. Oznacza to, że Karen musiała sobie codziennie radzić z dzieckiem, nie poradziwszy sobie wprawdzie ze swoimi uczuciami. Kiedy Christian wracał z pracy lub kiedy przyjaciele i rodzina wpadali z wizytą, słyszała, jakie to wspaniałe, że może tyle czasu spędzać ze swoim dzieckiem. Karen stopniowo wyparła poczucie niepewności i zaczęła zbyt dużą wagę przywiązywać do higieny i diety Sary. Starła się, by córka miała piękne ubranka, jadła regularnie i dużo.

W wieku trzech miesięcy Sara zaczęła zwracać pokarm matki. Karen była zrozpaczona, ale nie wspomniała o tym nikomu – do czasu gdy dziecko zaczęło tracić na wadze. W końcu poruszyła ten temat w rozmowie z pediatrą. Ponieważ istniał cień zagrożenia, że Sara ma wrodzoną wadę zwężenia części wpustowej żołądka, trzeba było skierować ją na badania w szpitalu. Badania nie wykazały jednak żadnych zaburzeń anatomicznych. Dziecko nadal wymiotowało, a karmienie piersią, które wcześniej było przyjemnym, intymnym doświadczeniem, stało się koszmarem zarówno dla matki, jak i córki.

Chociaż Karen nie zdawała sobie z tego sprawy, jej córka cały czas z nią współdziałała, dając jej bardzo kompetentną informację zwrotną. Jej przekaz można wyartykułować na kilka sposobów. Wystąpienie wymiotów może znaczyć tyle co:

Dziękuję mamó, jestem już najedzona!

lub:

Mamó, wołałabym raczej jeść, kiedy jestem głodna, a nie wtedy, kiedy masz ochotę nacieszyć się intymnym doświadczeniem z moim udziałem.

lub:

Coś między nami jest nie tak, mamó. Masz taką obsesję na punkcie bycia dobrą matką, że całkowicie zapomniałaś o moich potrzebach. Czy nie sądzisz, że dobrze byłoby porozmawiać z tatą?

lub:

Posłuchaj, mamó. Ja po prostu nie mogę zaakceptować sposobu, w jaki mnie traktujesz. Robi mi się od tego niedobrze!

W przekonaniu Karen jej córka nie wykazywała chęci współdziałania – choć było wprost przeciwnie. Minęło kilka tygodni. Po kolejnej hospitalizacji Karen i Christian zdecydowali się zwrócić po poradę do terapeuty rodzinnego. Większość terapeutów wysnułaby jeden z następujących wniosków: Karen jest neurotyczką, małżeństwo rodziców się rozpada albo coś jest nie w porządku z dzieckiem. Kiedy zapytano Karen wprost, jak według niej Sara mogłaby z nią współpracować, Karen odpowiedziała: byłabym szczęśliwa, gdyby tylko zaczęła normalnie jeść i przybierać na wadze.

Ale to nie jest sposób, w jaki dzieci współdziałają. One sięgają zawsze do źródeł problemu. Dzieci zawsze wskazują – chociaż nie czynią tego świadomie – na konflikt, który nie pozwala rodzinie osiągnąć stanu prawdziwej harmonii.

Przykład 3.

Rodzina spożywa posiłek w restauracji. Kiedy dorośli piją kawę, dzieci w wieku czterech i siedmiu lat dostają lody,

które szybko zjadają. W tym czasie rodziców całkowicie pochłania ważna rozmowa.

Przez chwilę dzieci siedzą, słuchając, ale wkrótce wymyślają zabawę: zaczynają bardzo cicho chodzić – według coraz bardziej skomplikowanego wzoru – pomiędzy pustymi stolikami w restauracji. Rodzice kilka razy wołają je do siebie, ale dzieci wkrótce wracają do zabawy.

Nagle ojciec przywołuje je gniewnym, przyciszonym głosem. Kiedy posłusznie do niego podchodzą, mówi:

– Czy mnie słyszeliście? Jeśli nie potraficie się zachować, więcej nie pójdziecie z nami do restauracji. Nieważne zresztą, wystarczy na dzisiaj! Idziemy do domu.

Dzieci są zaskoczone. Wychodzą bez słowa ze spuszczonymi głowami. Przecież współpracowały: całkowicie, otwarcie i bezpośrednio. Ich zachowanie mówiło: ponieważ nasi rodzice są zajęci sobą, znajdziemy sobie jakieś zajęcie, żeby im nie przeszkadzać.

A teraz przewińmy szybko film o kilka tygodni do przodu, do wieczora, kiedy jedno z dzieci mówi do ojca:

– Czy wyjdziemy dzisiaj do restauracji?

– No cóż, być może – odpowiada ojciec. – Ale macie się tym razem dobrze zachowywać i nie zepsuć tego wyjścia tak, jak zrobiliście to ostatnio!

Po raz kolejny rodzic źle odczytał spontaniczne, wynikające z miłości zachowanie dziecka jako brak chęci do współdziałania. Po raz kolejny pomylił współpracę z tzw. dobrym zachowaniem. Postanowił skupić się raczej na posłuszeństwie niż na budowaniu relacji wzajemnego szacunku.

Gdybyśmy spojrzeli na zachowanie dzieci w inny sposób, dostrzeglibyśmy, że są one mistrzami współdziałania. Po-

myślmy o czteroletnim chłopcu, który chodzi w taki sam sposób, jak jego ojciec, albo o sześciolatnią dziewczynkę, która je dokładnie tak, jak jej matka, czy o dziewięciolatka, który przemawia do swego młodszego brata tak, jak ojciec przemawia do niego. Kiedy widzimy, że dzieci nas w ten sposób naśladowują, rzadko czujemy się oburzeni. Wprost przeciwnie – pochlebia nam to.

Kiedy jednak dzieci naśladowują nas lub zdradzają nasze uczucia i poglądy, które wolelibyśmy zachować dla siebie albo których nie jesteśmy świadomi, reagujemy negatywnie. Już bardzo małe dzieci odczytują nasze uczucia, studiując nasze twarze, zanim wyrażą swoje emocje.

Zauważmy, co się dzieje, kiedy odwiedzamy kogoś, kto ma małe dziecko w wieku od sześciu miesięcy do dwóch i pół roku. Po naszym wejściu do pokoju dziecko przypatra się intensywnie twarzy matki lub ojca. Jeśli którekolwiek z nich jest wzburzone, nerwowe, przejawia obawę lub zdradza niechęć do przyjmowania gości, dziecko zacznie płakać albo odwróci głowę od gościa. W tym momencie któregoś z rodziców prawdopodobnie przybierze miły wyraz twarzy i powie do nas: „O, to wy! Proszę wejście!”. Jednak dziecko już się nie uspokoi.

Tak samo uważnie obserwują matkę dzieci, kiedy ta przyjmuje nowego wielbiciela, i zachowują się odpowiednio do jej reakcji. Jako terapeuta rodzinny codziennie obserwuję przejawy tego typu naśladownictwa. Podczas sesji rodzinnych małe dzieci często wykazują wzburzenie i domagają się uwagi w czasie dyskusji z rodzicami na temat problemów danej rodziny. Kiedy zaś temperatura rozmowy opadnie i uda się określić, na czym polega problem, młodsze dzieci zasypiają, a te starsze zabierają się do rysowania albo zaczynają się nudzić i chcą iść do domu.

Dzieci naśladową swoich rodziców nawet wtedy, gdy ci wywołują konflikty lub sprawiają problemy. Moje doświadczenie w zakresie terapii rodzinnej wskazuje, że na przykład dzieci alkoholików, które w dorosłym życiu także popadają w alkoholizm, współdziałają z nastawionym autodestrukcyjnie rodzicem, do którego były w szczególny sposób przywiązane.

Jak wcześniej wspomniałem, dziecko może manifestować wolę współdziałania na dwa sposoby. Może współdziałać w sposób bezpośredni, naśladowując zachowanie jednego z rodziców. Zdarza się to najczęściej w rodzinach, w których rodzice nie wykazują postaw destrukcyjnych.

- Dzieci traktowane z szacunkiem też traktują innych z szacunkiem.
- Dzieci, o które się dba, dbają o innych.
- Dzieci, których integralności się nie narusza, same nie naruszają cudzej integralności.

Dzieci mogą także współdziałać w sposób odwrócony (przekorny), stawiając opór. Niemniej motywacją ich działania jest wtedy także chęć współdziałania. Zdarza się również, że dwoje dzieci w tej samej rodzinie współdziała z rodzicami na dwa różne sposoby. Ten fakt dziwi często zarówno rodziców, jak i psychologów, ponieważ dzieci pochodzą z tego samego środowiska i są wychowywane w podobny sposób.

Przykład 4.

Młoda matka w chorwackim obozie dla uchodźców zwraca się po poradę do zespołu pracujących tam psychologów, ponieważ jej siedmioletni syn jest niezdolny, nieposłuszny,

płaczliwy i niesamodzielny – nie wykazuje woli współdziałania. Jednocześnie o swoim dwunastoletnim synu mówi, że jest dojrzały i pomocny. Nauczyciele w szkole określają go jako introwertyka, ale chwalą jego bystrość i sumienność.

Ta chorwacka rodzina przeżyła piekło. Sześć miesięcy wcześniej ojciec chłopców zginął na froncie bośniackim, a reszta krewnych rozproszyła się po różnych obozach dla uchodźców i schroniskach. Matka postanowiła poradzić sobie z tragiczną sytuacją w sposób, który wybiera większość rodziców: zachowując ciężar żałoby dla siebie i płacząc tylko od czasu do czasu w samotności. Ten wynikający z miłości i dobrej woli gest jest niestety równie powszechny co szkodliwy – zarówno dla matki, jak i dzieci.

Starszy syn współdziała z matką, naśladowując ją: zachowuje swój smutek dla siebie. Chodzi po obozie przygarbiony, z nieodgadnionym, kamiennym wyrazem twarzy. Od dorosłych, których spotyka, słyszy wyrazy współczucia i troski. Jego niewypowiedziane uczucie do matki uspokaja i umacnia ich oboje. Współdziała z nią w sposób bezpośredni.

Młodszy brat również współdziała, ale inaczej. Jest jedyną osobą w rodzinie, która aktywnie wyraża swój smutek, rozpacz, frustrację i tęsknotę za towarzystwem. Innymi słowy, daje wyraz uczuciom, które jego matka stara się stłumić. Matka nie może jednocześnie uodpornić się na swoje emocje i otworzyć na uczucia syna, bo są zbyt podobne. Syn chciałby współdziałać z matką dokładnie tak, jak robi to starszy brat, ale nie potrafi zmusić się do tego. Jego zderzenie z frustracją zachowanie nie wywołuje współczucia dorosłych, lecz irytację i bezsilność. Nie postrzegają go jako „dużego i rozsądnego”, jak brata, lecz jako „małego i niegrzecznego”. Cała trójka współdziała ze sobą kosz-

tem własnego zdrowia, choć tylko młodszy syn ma sposób na uleczenie rodziny. On jest tym, który wskazuje drogę.

Na szczęście matka zdała sobie sprawę, że potrzebuje pomocy. Zrozumiała oznaki zagrożenia i potraktowała je wystarczająco poważnie, by porozmawiać o tym z innymi. Po wizycie u psychologa została przedstawiona grupie kobiet znajdujących się w podobnej sytuacji. Kiedy zaczęła radzić sobie z własnym żalem, umożliwiła także starszemu synowi ekspresję jego smutku. W konsekwencji uspokoił się i młodszy syn.

Często to samo zjawisko obserwujemy w rodzinach, w których ojciec stosuje przemoc wobec żony i dzieci. Chęć współdziałania u dzieci może mieć wtedy różne przejawy: nierzadko jedno z dzieci naśladuje tatę – staje się gwałtowne i destrukcyjne – a drugie, naśladując mamę, kieruje agresję do środka. Pierwsze może zdradzać także oznaki autodestrukcji – nadużywać narkotyków, popaść w rozwiązłość seksualną lub próbować odebrać sobie życie – a drugie stanie się ciche, będzie trzymać się na uboczu, nie podejmować osobistych zobowiązań i mieć przesadne poczucie odpowiedzialności w stosunku do innych. Patrząc z zewnątrz, wiele z tych ostatnich zachowań można mylnie uznać za oznaki tzw. dobrego wychowania.

Nastoletni chłopcy z takich rodzin często przejawiają agresję, a dziewczęta przyjmują postawy autodestrukcyjne. Jedną z przyczyn tego zjawiska jest fakt, że dziewczęta przyjmują matkę za wzór do naśladowania i działają zgodnie z jej autodestrukcyjnym wzorcem zachowania. Jednak każde dziecko w odmienny sposób nawiązuje relację ze swoimi rodzicami – zarówno pod względem natury, jak i jakości interakcji.

Oto schemat bezpośredniej i odwróconej formy naśladowania–współdziałania.

- Dzieci, które są często krytykowane, stają się krytyczne wobec innych albo wobec siebie.
- Dzieci, które wychowują się w domach, gdzie panuje agresja, same stają się agresywne albo wykazują zachowania autodestrukcyjne.
- Dzieci, które wychowują się w rodzinach, w których nie ma zwyczaju otwartego wyrażania myśli, stają się milczące albo gadatliwe.
- Dzieci, które są obiektem przemocy fizycznej czy seksualnej, popadają w obsesję o cechach autodestrukcyjnych albo stosują przemoc wobec innych.

Według moich szacunków połowa dzieci skonfrontowanych z destrukcyjnym zachowaniem dorosłych współdziała w sposób odwrócony. Druga połowa współpracuje w sposób bezpośredni i z tego powodu uznaje się ją za problematyczną. Wspominam o tym, by podkreślić fakt, że wszyscy mamy własne powody, by robić to, co robimy. Wszyscy, nie z własnej winy, zostaliśmy doprowadzeni do naszych destrukcyjnych lub autodestrukcyjnych zachowań.

W przeszłości, kiedy rodzina była autokratyczną strukturą władzy, rodzice częściej tłumili kompetencję dzieci. Na szczęście teraz jest to o wiele trudniejsze. Dzieci i nastolatki stały się nie tylko bardziej pewne siebie, ale też rodzice są bardziej elastyczni, społeczeństwo zaś jako całość bardziej skłonne poważnie traktować dobro każdego dziecka.

INTEGRALNOŚĆ

Używając słowa integralność, odwołuję się do koncepcji fizycznej i psychologicznej nienaruszalności ludzkiej egzystencji. Kwestia integralności wiąże się z naszą tożsamością, granicami i potrzebami osobistymi.

W większości wypadków w relacji z rodzicami dzieci nie są w stanie ochronić swej integralności. Nie chcę przez to powiedzieć, że są w tym zakresie całkowicie niekompetentne: w rzeczywistości w dużej mierze potrafią same ustalać własne granice. Pragnę raczej zasugerować, że dzieci często zaniedbują własne potrzeby, jeśli stoją one w konflikcie z potrzebami rodziców. W takim wypadku dzieci – zamiast myśleć o sobie – wybierają współdziałanie.

Zilustrujmy to jaskrawym przykładem. Wykorzystywanie seksualne dzieci lub pasierbów przez ojców czy matki to dramatyczne naruszenie ich integralności fizycznej i psychicznej. Kiedy ofiary opisują później swoje uczucia, często twierdzą, że miały świadomość, iż to, co się stało, było z gruntu złe oraz że – w sposób werbalny i niewerbalny – próbowały się bronić. Jednak ofiary kazirodztwa zrzekają się swoich własnych praw po to, by współdziałać z dorosłymi. A pod wpływem gróźb czy innej manipulacji często zapewniają także sprawcy bezkarność, nie wyjawiając tego, co się stało. Czasami to lojalne, będące wyrazem współdziałania milczenie trwa kilka lat, a czasami całe życie.

Tak wygląda autodestrukcyjna reakcja na niesprawiedliwość, którą społeczeństwo uznaje nie tylko za nielegalną, ale również za absolutnie niedopuszczalną ze względów moralnych. Nietrudno wyobrazić sobie, jak milczące i autodestrukcyjnie nastawione dzieci zachowują się w obliczu niesprawiedliwości mniejszego kalibru – tych, które po-

wszechnie uznaje się za cenny czy też konieczny element tzw. dobrego wychowania.

Dzieci reagują na przejawy gwałcenia ich integralności psychicznej najczęściej w sposób autodestrukcyjny. Oznacza to, że kiedy rodzice – świadomie bądź nie – czynią to regularnie i w podobny sposób, dzieci nie zdają sobie sprawy, że rodzice postępują źle. Zakładają, że to one są złe! Tracąc poczucie własnej wartości, kumulują w sobie poczucie winy lub wstydu. Taka interakcja pociąga za sobą konsekwencje na całe życie, zarówno dla jakości życia dzieci, jak i jakości relacji rodzic–dziecko.

Smutne jest, że im bardziej narusza się integralność danej osoby, tym bardziej stara się ona współdziałać ze sprawcą i podporządkowywać mu się. Dzieje się tak nie tylko w wypadku dzieci, ale również np. u kobiet żyjących z agresywnymi partnerami. Klinicyści pracujący z dorosłymi ofiarami tortur zaobserwowali, że istnieje związek pomiędzy stopniem pogwałcenia czyjejs integralności fizycznej a poczuciem winy. Oczywistym celem tortur jest zniszczenie integralności psychicznej i fizycznej ofiary bez uśmiercania jej. Z punktu widzenia kata tortura odnosi skutek, gdy ofiara czuje się całkowicie winna tego, co się stało.

Podobnie jest z dziećmi, które umieszczono w zakładach opiekuńczych z powodu fizycznego lub psychicznego okrucieństwa rodziców. Dzieci te cierpią na skrajny brak poczucia własnej wartości i ogromne poczucie winy. Przejawiają również lojalność względem rodziców i często czują się zobowiązane wracać do domu w weekendy i wakacje, mimo że wiedzą, iż może je tam spotkać tylko krzywdą.

Dzieci, których integralność pogwałcono, zawsze adekwatnie komunikują ten fakt dorosłym, jednak ich przekaz często bywa ignorowany, tłumiony lub rozumiany opacz-

nie. Kiedy byłem dzieckiem, rodzice i nauczyciele powszechnie uważali, że można sprawić, by dzieci stały się „dobre”, mówiąc im, jakie są „złe”. Sądziło się, że dzieci nauczą się dobrego zachowania, kiedy tylko dowiedzą się, jak źle się zachowują. Jednak mówienie dziecku, że jest złe, stanowi atak na jego integralność psychiczną. Dziecko często komunikuje ten fakt niewerbalnie, używając zrozumiałego i niedwuznacznego języka: płacze albo na jego twarzy pojawia się wyraz bólu. Spogląda przez moment na osobę dorosłą i – jeśli przekazywany przez nie komunikat nie zostanie zrozumiany – spuszcza oczy, a jego ciało usztywnia się. Wszystko w nim mówi: Ranisz mnie!

W rzeczywistości czasami dzieci faktycznie wypowiadają te słowa *explicite*, ale słyszą wtedy tylko: „Bądź cicho, kiedy do ciebie mówię!”. Dorośli źle odczytują także język ciała dzieci i odwracanie wzroku traktują jako przejaw nieposłuszeństwa, mówiąc: „Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!”. Takie traktowanie dziecka wzmacnia jakiś wyimaginowany społeczny ideał kosztem osobistej integralności małego człowieka. Takie słowa dorosłych niosą przekaz dla dziecka: „Nie jest istotne, czy to, co mówię, rani cię czy nie. A jeśli nawet tak jest, to dzięki temu lepiej zapamiętasz moje słowa! Ważne jest, że powinieneś nauczyć się grzeczności, a grzeczność wymaga, by patrzeć na osobę, która do ciebie mówi!”.

Jeśli taka wymiana zdań nie robi na dziecku wystarczająco dużego wrażenia, dorośli czasami chwytają je za podbródek i zmuszają do podniesienia głowy. Dziecku pozostaje wtedy już tylko jedna linia obrony: spuścić oczy. Jednak ta reakcja irytuje niektórych dorosłych tak bardzo, że uciekają się do przemocy fizycznej albo każą dziecku iść do swojego pokoju.